

Rosja jest mistrzem w wykorzystywaniu kuchni do propagandy

26 listopada 2021

O Związku Radzieckim napisano już sporo. Mało jednak powiedziano o tym, jak kraj rosyjski działał i działa po dziś dzień od kuchni. Jak przywódcy radzieccy wykorzystywali kuchnię do celów propagandowych? Dlaczego Lenin – przywódca rewolucji proletariackiej – posiadał własną kucharkę oraz jak za pomocą jedzenia próbowano umilić śmierć ludziom pracującym przy awarii reaktora w Czarnobylu? O tym opowiada Witold Szablowski, autor książki „Rosja od kuchni. Jak zbudować imperium nożem, chochlą i widelcem”.

– „Rosja od kuchni. Jak zbudować imperium nożem, chochlą i widelcem” – tak zatytułował Pan swoją najnowszą książkę. Jak więc zbudować to imperium? Czy istnieje na to jakiś przepis?

– Trzeba do tego odrobinę słodczy i odrobinę brutalności. Najpierw podaje się dużo pysznych potraw – tym, którzy dadzą się skusić na kawior, jesiotra czy sałatkę z kraba kamczackiego, to w zupełności wystarczy. Tym natomiast, którzy pozostają na takie frykasy obojętni, trzeba nieco przykręcić śrubę – ich zdobywa się głodem.

– Proponuje Pan w swojej książce nieco inne spojrzenie na historię – od kuchni. Co kuchnia może powiedzieć nam o historii czy polityce danego kraju?

– Może powiedzieć bardzo dużo. Dla mnie kuchnia jest forpocztą zmiany, rewolucji. Widzieliśmy to doskonale chociażby na przykładzie Polski. Przemiany z 1989 roku zaczęły się jeszcze przed Wybrzeżem, w Świdniku. Tam strajk rozgorzał wokół tego, że poszły w górę ceny żywności w stołówce pracowniczej. Także w Stoczni Gdańskiej jednym z powodów wybuchu protestów była

podwyżka cen mięsa. Tak jest bardzo często – jedzenie jest zwiastunem, niejako przedsmakiem zmian – również tych społecznych.

– A co kuchnia mówi nam o Rosji czy wcześniej – Związku Radzieckim?

– Rosja doskonale wykorzystuje kuchnię do tego, by budować swoje imperium – albo przekupuje poddanych jedzeniem, jak przekupywała robotników w Czarnobylu, kosmonautów, polarników czy żołnierzy, albo też ich głodzi, wymuszając w ten sposób posłuszeństwo. Ale nie było tak od początku. Takie podejście zapoczątkował dopiero Stalin, wcześniej sytuacja wyglądała zgoła inaczej. Pierwsi rewolucjoniści nie przywiązywali większej uwagi do tego, co jedzą, nie było to dla nich w dobrym tonie, żeby rewolucjonista zajmował się tym, co ma na talerzu. Stołówka na Kremlu w czasach Lenina i w pierwszych latach stalinowskich uchodziła zresztą za najgorszą w całej Moskwie. Lepiej jadali robotnicy w przeciętnym zakładzie ZSRR niż przywódcy radzieccy.

– Co więc sprawiło, że sytuacja uległa zmianie?

– W pewnym momencie Stalin zatrudnił na swoim dworze niesamowitego kucharza, późniejszego testera jedzenia – Aleksandra Egnataszwilego, Gruzina, który przypominał mu jak wielka i niesamowita jest kuchnia gruzińska. Wskazał, że w Gruzji supra – kolacja – poza samym pożywieniem ma również dużo szersze znaczenie – społeczne, pozwala pokazać bogactwo i pozycję gospodarza. Stalin zaczerpnął z jego rad wiele dla swojej prywatnej kuchni, ale i dla kuchni krajowej – zaczął używać jej jako narzędzia w polityce wewnętrznej, ale i w dyplomacji. I to niezwykle skutecznie. Ksawery Pruszyński, który z Władysławem Sikorskim pojechał na delegację do Kremla, był poruszony bogactwem i przepychem, jakie dostrzegł na tamtejszych stołach. Ale największym majstersztykiem w tym aspekcie była bez wątpienia konferencja w Jałcie. Stalin pokonał wówczas aliantów także tym, jak bogato zastawił stoły.

– No właśnie – jak wyglądała konferencja jałtańska od kuchni? Przy czym biesiadowali przywódcy Wielkiej Trójki decydując o losach kontynentu?

– Czego tam nie było! Śledź z Kerczu, udziec z dzikiej kozy, indyk w pigwie czy jesiotr w sosie z szampana – stół jałtański uginał się od takich rarytasów. To wszystko robiło ogromne wrażenie, szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę okoliczności, w jakich odbyła się konferencja. Do spotkania Wielkiej Trójki doszło zaledwie kilka miesięcy po tym, jak Niemcy opuścili spustoszony Krym, kilka dni po wyzwolenia obozu koncentracyjnego Auschwitz. Wyczerpana wojną Europa pogrążona była w głodzie, chłódzie i ogólnej beznadziei. Tymczasem w Jałcie delegacje państw alianckich zastały niemalże inny świat – najlepsze jedzenie, podawane na pięknych zastawach, ze srebrnymi sztuccami, w dodatku kucharze radzieccy popisujący się swoimi kulinarnymi zdolnościami i przygotowujący coraz to wymyślniejsze potrawy. Wszystko po to, by stworzyć wrażenie, że Rosji nie da się pokonać, że jeśli w czasie tak kosztownej wojny potrafi wystawić tak imponującą biesiadę – to ma siły, by wygrać wojnę. Podziałało. Obaj przywódcy – tak Franklin D. Roosevelt, jak i Winston Churchill – doskonale wiedzieli, że ich kraje nie mogłyby pozwolić sobie na coś takiego.

– W Jałcie stoły uginały się od bogactwa i przepychu, natomiast jeszcze rok wcześniej sytuacja w Związku Radzieckim wyglądała zgoła inaczej – na przykład podczas blokady Leningradu.

– Dokładnie tak, bo konferencja jałtańska i towarzyszący jej przepych kulinarny były jedną wielką grą pozorów, świetną sztuką kamuflażu, tak bardzo typową dla Stalina i zresztą nie tylko dla niego. To coś, czego Rosja mniej więcej w tym czasie się nauczyła – że nie ważne, jak jest naprawdę – ważne, jak myślać że jest. To, że zaledwie rok wcześniej ludzie w Leningradzie umierali z głodu, nie miało dla Stalina takiego znaczenia jak fakt, że chciał pokazać Rosję jako kraj silny i bogaty, który jest w stanie walczyć i pokonywać inne kraje.

– Z jednej strony wiele ludzi umierało w Leningradzie z głodu, z drugiej działał ogród zoologiczny, w którym zwierzęta dostawały pełne porcje jedzenia, kilkadziesiąt kilogramów dziennie. Skąd taki pomysł?

– A skąd pomysł, żeby w głodującym Leningradzie zorganizować premierę VII Symfonii Szostakowicza? Ludzie zaangażowani w ten koncert grali nadludzkim wysiłkiem, wycieńczeni i bezsilni, ledwo utrzymywali się na nogach. A mimo to zorganizowano wspaniałe przedstawienie. Było to oczywiście mocno propagandowe posunięcie. Za pomocą tego koncertu, jak i wspomnianego ogrodu zoologicznego, Rosjanie chcieli pokazać Niemcom, że niewiele sobie robią z oblężenia miasta. Że w czasie, gdy Niemcy utrzymują blokadę Leningradu, Rosjanie potrafią nawet wykarmić hipopotama w zoo. Skoro najadają się nawet zwierzęta, to o żadnym głodzie nie może być mowy. W rzeczywistości sytuacja wyglądała oczywiście całkowicie inaczej. Głód był i to ogromny, o czym bardzo przejmująco opowiada jedna z bohatererek mojej książki.

– Mówiąc o głodzie, nie sposób nie wspomnieć o Ukrainie – ten na ogromną skalę nawiedził ją aż trzykrotnie: w latach 1920-1921, 1932-1933 oraz – o czym często się zapomina – po wojnie, w okresie 1946-1947. Jak wyglądała wówczas sytuacja? Czym żywili się ludzie w dobie wielkiego głodu?

– W zasadzie wszystkim, co nadawało się do jedzenia – sięgano po świecę, pleśń, mięso zdechłych zwierząt. Udało mi się dotrzeć do pani Hanny Basaraby, kobiety, która przeżyła głód lat trzydziestych. Opowiadała ona, że dla jej rodziny i znajomych wielkim świętem było, gdy udało im się znaleźć zdechłego ptaka – momentalnie znikał on w żołądkach wygłodniałych ludzi. W akcie desperacji wyruszali również na pola, gdzie jesienią uprawiano ziemniaki, z nadzieją znalezienia pozostawionych tam przypadkiem kartofli. Jedzono więc w zasadzie wszystko, a przeżyli tylko ci, którzy mieli szczęście. Do pani Basaraby los się akurat uśmiechnął – jej mama dostała pracę jako kucharka w kołchozie i to ocaliło jej

życie. Nie wszyscy mieli jednak takie szczęście.

– Tego szczęścia zabrakło z pewnością Hance Kartopliowej, którą podejrzewano o to, że w czasie wielkiego głodu, w akcie desperacji zjadła swoje dzieci. Czy często dochodziło do takich sytuacji?

– Często i to jest dość dobrze udokumentowane. Głód był wówczas tak dojmujący, że ludzie przestawali być sobą, posuwali się do rzeczy, do których nigdy wcześniej nie byliby zdolni. Tak było właśnie z Hanką Kartopliową. Pani Basaraba, z którą rozmawiałem, wspominała, że do czasu wielkiego głodu Kartopliowa była kochającą matką, dbającą o swoje dzieci. Przemożny głód spowodował, że coś w niej pękło, nie wytrzymała jej psychika. To w ogóle bardzo poruszające, słuchać o uczuciach sześciolatniego dziecka przechodzącego codziennie do przedszkola obok domu kobiety, która zjadła trójkę swoich dzieci. Gdyby to jeszcze jakoś pomogło. Koniec końców i tak umarła.

– Całkiem inaczej sytuacja malowała się w Czarnobylu. Kucharkom, które tam wysłano, powiedziano, że mają pomóc likwidować skutki awarii reaktora. W jaki sposób?

– W swojej książce opisuję losy brygady kucharek, które trafiły do Czarnobyla zaraz po awarii reaktora. Jeszcze nie do końca wiadomo, jak go gasić, a kucharki już pracowały i przygotowywały posiłki dla tych, którzy zjeżdżali się do miasta. Była to bez wątpienia bardzo trudna praca, z jednej strony dlatego, że z dnia na dzień było jej coraz więcej, z drugiej – wiązała się z ogromnym ryzykiem. Przywódcy ZSRR zdawali sobie sprawę z tego, że większość ludzi wysłanych do Czarnobyla już nigdy z niego nie wróci. Wiedząc, że wysyłają ludzi na śmierć, próbowali ich chociaż przed tą śmiercią dobrze nakarmić. I zdecydowanie na tym nie oszczędzali. Jak wspominają kucharki, w Czarnobylu była praktycznie nieskończona ilość jedzenia, nikt nie był w stanie tego przejeść, chociaż nie tylko z tego powodu. Ludzie pracujący

przy reaktorze już wtedy byli bardzo chorzy, umierali w ciągu kilku, kilkunastu dni. Mimo suto zastawionych stołów nie chcieli nic jeść. Jedyne o co prosili, to kompot do picia – już wtedy „paliło ich” coś od środka.

– Kucharki okazywały się więc często prawdziwym wsparciem – nie tylko jednak dla ludzi pracujących przy reaktorze w Czarnobylu, ale i dla żołnierzy. Niezwykle poruszający jest tu przykład Niny Karpowny, kucharki, która gotowała żołnierzom w Afganistanie.

– Tak, chociaż jej rola nie sprowadzała się jedynie do gotowania. Związek Radziecki często wykorzystywał kucharki w innym celu. Tam, gdzie władza nie była w stanie zadbać o obywateli, wysyłano takie kobiety jak Nina Karpowna. Warto zauważyć, że ona została kucharką w wojsku, które miało już swoich kucharzy. Ale byli to wojskowi, mężczyźni. Obejmując pracę Karpowna usłyszała, że żołnierzom, których codziennie wysyła się na śmierć, potrzeba kobiecej ręki. Kuchnia jak u mamy miała stworzyć im choć namiastkę domu, do którego wielu już nigdy nie wróciło. Niesamowite, ale to rzeczywiście działało. Nie przez przypadek żołnierze nazywali ją „mamą Nina”. Tak też zresztą sama widziała swoją rolę – gotowała im, ale po części też czuła się ich matką.

– A kim byli kucharze dla dyktatorów. Jak wyglądała praca u ich boku?

– Wiązała się przede wszystkim z ogromnym ryzykiem i odpowiedzialnością. Kucharze najważniejszych osób w państwie musieli mieć świadomość, że najmniejszy błąd czy potknięcie mogą przypłacić życiem. Bardzo często skupiała się na nich bardzo duża uwaga służb bezpieczeństwa, co też nie jest bezzasadne – jak ktoś chciał pozbyć się dyktatora, najprościej było to zrobić właśnie przez kuchnię.

– Dlatego wielu dyktatorów miało swoich testerów żywności.

– Tak, dla Stalina takim testerem był wspomniany już

Egnataszwili, któremu niestety kompletnie zmarnowało to zdrowie i życie. To bardzo stresująca praca testować jedzenie dla dyktatora. Działanie trucizny ujawnia się zwykle po około trzydziestu minutach – przez taki czas, trzy albo cztery razy dziennie trzeba czekać w niepewności, czy się przeżyje czy nie. To musi być bardzo wyniszczające – nie tylko fizycznie, ale przede wszystkim psychicznie.

– Pisze Pan w książce, że to, co jadł pierwszy sekretarz partii komunistycznej w Związku Radzieckim i zwykły obywatel miało znaczenie polityczne i że każdy usmażony kotlet służył propagandzie. W jaki sposób ZSRR karmił swoich obywateli propagandą?

– W ZSRR jedzenie było symbolem tego, jak bardzo państwo i partia dbają o człowieka. Jak tylko w latach siedemdziesiątych sytuacja zaczęła się trochę poprawiać i zaczęto jeść nieco lepiej, od razu pojawiła się narracja, że to zasługa partii. Z tymi kotletami to w ogóle ciekawa historia. Pewnego razu, jeszcze w latach trzydziestych, Anastas Mikojan, komisarz do spraw żywności i zaopatrzenia w Związku Radzieckim, pojechał do Stanów Zjednoczonych i tam bardzo zachwycił się ideą hamburgerów. Po powrocie do kraju postanowił więc za wszelką cenę przekonać Stalina do tego, by w Związku Radzieckim produkować własne, radzieckie hamburgery. Po burzliwych dyskusjach udało mu się uzyskać zgodę, problem polegał jednak na tym, że o ile z produkcją mięsa Rosjanie sobie poradzili, o tyle kompletnie nie poradzili sobie z produkcją bułek do hamburgerów. Tak więc stworzyli własną, radziecką wersję hamburgerów – bez bułki. Co ciekawe, zgodnie z założeniami, ich gramatura w całym kraju – od Brześcia do Władywostoku – miała być taka sama. Można powiedzieć, że to Związek Radziecki w pigułce. Wracając jednak do tej propagandy, w Związku Radzieckim stołówki były jej ważnym narzędziem, choćby dlatego, że wszyscy mieli być w nich równi. Niezależnie od tego, czy ktoś był inżynierem, dyrektorem zakładu czy przywódcą państwa – dostawał na talerzu dokładnie to samo.

Takie było oczywiście założenie, w pewnym momencie rewolucja zaczęła bowiem zdradzać swoich obywateli. Podaję nawet datę, kiedy to się stało. Dokładnie – w dniu, w którym Lenin zdecydował się zatrudnić kucharkę.

– Przywódca proletariackiej rewolucji, a posiadał własną służbę. Nie jest to pewna sprzeczność?

– Oczywiście, że jest. Ale w Związku Radzieckim nikt o tym nie wiedział. Moja książka jest pierwszą, w której znalazło się zdjęcie Aleksandry Worobiowej – kucharki Lenina. Jeszcze do niedawna fakt, że gotowała ona dla przywódcy rewolucji bolszewickiej, był ściśle strzeżoną tajemnicą. Do dziś gdy udamy się na wycieczkę w miejsce, gdzie Lenin spędził ostatnie lata życia, zobaczymy w rękach przewodników dziurawy garnek, który rzekomo należał do Lenina i usłyszymy historię, że w nim to właśnie jego żona – Nadieża Krupska razem z jego siostrą przygotowywały dla niego posiłki. Słowem nikt nie wspomni o tym, że prawdziwe potrawy serwowała mu kucharka.

– Mimo tego kuchnia Lenina nie była chyba jednak zbyt wymyślna?

– Rzeczywiście nie była, bo mimo posiadania kucharki Lenin był człowiekiem, który naprawdę żył rewolucją. On nawet nie zauważał, co je. Jest taka historia, gdy będąc z Nadieżą Krupską w Finlandii, jeszcze w czasie, gdy oboje byli rewolucjonistami i musieli ukrywać się przed carem, zatruli się w restauracji do tego stopnia, że trzeba było wezwać lekarza. Gdy ten przybył na miejsce, zaczął wypytywać Lenina o to, co zjadł i co ciekawe – ten nie potrafił wymienić ani jednego dania, które zjadł niespełna godzinę wcześniej. Samo to już dużo o nim mówi. Miał zresztą z tego powodu niemałe problemy. W Finlandii posiadał bowiem przy sobie fałszywe papiery, w których zapisane było, że jest nikim innym, jak – o ironio – kucharzem. Lekarz nie uwierzył i doniósł władzom. Jedzenie znajdowało się więc poza zasięgiem zainteresowań przywódcy bolszewików. Jak bliscy chcieli się z nim podroczyć, to

wypytywali go o ceny jedzenia – Lenin nie miał o takich rzeczach bladego pojęcia.

– A późniejsi przywódcy radzieccy? Mieli jakieś żywieniowe zachcianki?

– Mieli zachcianki – krótko mówiąc – bardzo chłopskie, co też nie jest dziwne, większość z nich wywodziła się w końcu z chłopów albo robotników. Ciekawym przykładem jest tutaj historia Breżniewa. Został on przywódcą ZSRR w momencie, gdy kulinarnie znajdował się on na wyżynach – kuchnia Kremla była w tamtym czasie jedną z bardziej profesjonalnych kuchni dworskich na świecie. Przyjęcia wyglądały więc zwykle dość sztywnie, stoły były przeważnie suto zastawione wymyślnymi potrawami, takimi jak ikra, sałatka z krabia kamczackiego, jesiotry w galarecie i inne przysmaki. Breżniew jednak, który dorastał na wschodniej Ukrainie, nie jadał w dzieciństwie takich rzeczy i też szczególnie za nimi nie przepadał. Zwykle więc na tak bogato zastawionych stołach nie mógł znaleźć niczego, co by mu posmakowało. Czekał więc do momentu, aż przyjęcia się skończą, następnie udawał się do apartamentu albo do swojej dachy i dzwonił do kucharza, z poleceniem, by podał mu podsmażone ziemniaczki ze zsiadłym mlekiem – to było jedzenie, które naprawdę lubił i zjadał.

– Jak wygląda dzisiejsza Rosja od kuchni? Czy nadal karmi ona swoich obywateli propagandą?

– Jak najbardziej, suto zastawione stoły kremlowskie wciąż mają onieśmielać tym, co się na nich podaje. Rosja jest pod tym względem godną następczynią ZSRR, także jeśli chodzi o jej obecnego przywódcę. Gdy Władimir Putin po raz pierwszy startował w wyborach prezydenckich, jedna z opowieści, którą chciał zdobyć serca Rosjan, traktowała o jego dziadku kucharzu – Spirydonie Putinie. W wielu wywiadach przekonywał, że skoro kuchni jego dziadka zaufali tacy przywódcy, jak Rasputin, Lenin i Stalin, to i jemu Rosjanie powinni uwierzyć.

– Uwierzyli?

– W 2000 roku tak, czy wierzą dziś – to pozostaje pytanie otwarte. Warto jednak zauważyć, że Stalin do dzisiaj uważany jest przez Rosjan za najwybitniejszego rosyjskiego polityka XX wieku. To pokazuje, jak bardzo jego propaganda była skuteczna, skoro działa nawet tyle lat po jego śmierci. Jeśli chodzi o propagandę, zwłaszcza tę od kuchni, Putin próbuje podążać śladami swoich poprzedników. Może więc i efekt jej działania jest podobny.

– Dziękuję za rozmowę!

Z Witoldem Szablowskim rozmawiała Natalia Pochroń

Źródło: Histmag.org

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)